

Bajka o miłości

Gdzie mieszka szczęście?

Zegar na działdowskiej wieży

Bajka o miłości

Żyła sobie kiedyś mała śliczna panienka. Miała na imię Maja. Była najszczęśliwszą osobką na świecie. Kochały ją ptaki i zwierzątka. Kwiaty kolorowiły się pod jej stopami a lodygi traw kłaniały się na jej widok. Najpiękniejsze, co miała to uroczy uśmiech, szczerze błękitne oczy i duszę otwartą na cały Boży świat. Wnosiła radość w każde napotkane stworzenie, opromieniała sobą i drzewa i kałuże po ulewnych deszczach i cienie paproci, leśnego mchu, i zmurszałych kamieni. Słońce błyskało w jej bosych piętach podskakujących po polach i kwiecistych łąkach. A tęcza prowadziła do cichych podniebnych przestrzeni wypełnionych oddechem samego Pana Boga. Cała była miłością i wszystko dla niej było miłością. Potrafiła rozmawiać z każdym ze swych braci najmniejszych, człowiekiem, zwierzątkiem, ptaszkiem, owadem...

Nie było w niej ani smutku, ani grzechu, ani zła, lecz sama dobroć tak naturalna jak samo życie.

Pewnego dnia spotkała na swej drodze chłopca o imieniu Jaś. Zachwyciła się jego złoto-zielonymi oczami, włosami jak pszeniczne kłosa, rękami delikatnymi o palcach pianisty. Zaprosiła go do wspólnej wędrówki. Więc poszedł za nią i odtąd był jak jej cień, jak brat, jak przyjaciel. Był dobrym kompanem, zgodnym i miłym towarzyszem. Jedyną jego wadą było to, że nie był rozmowny. Na jej pytania odpowiadał krótko, lakonicznie. Sam chętnie słuchał jej szczebiotu, śmiechu, był oczarowany jej swobodą, tym, czego mu nie stało a czego ona miała w nadmiarze.

Maja była zafascynowana tą innością Jasia. Obudził w niej tęsknotę za czymś niezwykłym, nieznanym. Zapragnęła dotyku jego dłoni, muśnięcia warg, bliskości ciała. Pokochała go inaczej niż dotychczas kochać umiała, zaglądała mu w oczy by odnaleźć tam siebie, budziła w sobie małą kobietkę. Ale w jego oczach był tylko smutek i melancholia, jego ręce dotykały kwiatów i obejmowały pnie młodych drzew, a usta najczęściej zamknięte odgradzały się przed namiętnością i żarem.

Maja smutniała, płakała po nocach wpatrując się w odległe gwiazdy. Wszystko wokół stało się mniej piękne, mniej kolorowe, mniej świetliste. Do serca wkradł się ból, niepewność i zwątpienie. Jej szczebiot stał się matowy, już śmiech nie brzmiał tak perliście a światełka w oczach przygasły jak przykryte mgłą. Jaś zauważał te zmiany w niej, ale i tak ją kochał choć nie umiał jej o tym powiedzieć. Była dla niego kimś tak nieziemsko pięknym i dobrym, że nie pomyślał nigdy, iż mogłaby być jego.

I stało się, że doszli kiedyś do stóp wysokiej góry. Pełnej stromych zboczy, kamieni i wypukłości. Postanowili ją zdobyć i stanąć na jej szczycie.

- Gdy wejdę na szczyt powiem, że ją kocham - pomyślał o swej przyjaciółce Jaś.

- Gdy stanę na szczycie powiem, że go kocham - pomyślała Maja.

Trudne to było podejście, ale myśl o wyznaniu każdemu z nich dodawała sił.

Kiedy stanęli na samym wierzchołku góry byli tak zmęczeni, że położyli się na ziemi. I wtedy zmorzył ich sen.

Kiedy Maja obudziła się zauważyła w ziemi szczelinę. Wydawało się, że dochodzi z niej do niej jakiś dźwięk. Przyłożyła ucho do dziury i usłyszała jak góra do niej szepce:

-Wiem, jaką nosisz w sobie tajemnicę. Kochasz Jasia. Ale nie mów mu o tym. Mężczyźni nie powinni tego słyszeć od kobiet pierwsi. Będzie miał nad tobą władzę, nie będzie cię szanował, nie będzie cię czcił, i z czasem będzie tobą pogardzał. Nie mów mu o tym, nie mów mu o tym...

Maja zalała się łzami i nimi utrudzona znowu zasnęła.

A później obudził się Jaś. I zauważył w ziemi szczelinę. Wydawało mu się, że słyszy z ziemi jakiś dźwięk. Przyłożył ucho do ziemi i usłyszał jak góra do niego szepce:

- Wiem, jaką nosisz tajemnicę. Kochasz Maję. Ale nie mów jej o tym. Mężczyzna nie powinien mówić tego pierwszy kobiecie, by nie pomyślała, że jest słaby, niemęski, zbyt wrażliwy. Nie będzie cię szanować, nie będzie cię podziwiał, będzie miała nad tobą władzę. Nie mów jej o tym, nie mów jej o tym...

Zasmucił się Jaś i z tego smutku zasnął ponownie.

Obudził ich wielki grzmot. Błyskawice omiatały każdy najmniejszy kawałek góry, światło przenikało do oczu nawet przez zamknięte powieki i odgłos pioruna ciał ich ciała strwożone i drżące. I jeszcze Góra dyszała i napominała: nie mów jej o tym... nie mów mu o tym...

Ale strach silniejszy od przestrogi splótł ze sobą ich ręce, ciała, dusze. Góra wściekała się na głupotę ludzką, próbowała ich rozdzielić trzęsąc się i drżąc. Z hukiem spadały ogromne głazy, ze świstem leciały drobniejsze kamienie.

- Kocham cię - zawołała z rozpaczy Maja.

- Kocham Cię - jednocześnie wykrzyknął Jasio.

Cisza jaka nastąpiła po tych słowach poraziła ich oboje. Zza rozsuniętych chmur zobaczyli uśmiech Pana Boga. - Skoro dałem wam tę miłość - powiedział sam Bóg - nie odrzucajcie jej. A tak naprawdę nie ważne, kto pierwszy wyzna swoje uczucia, najważniejsze by były one szczerze i trwałe. Ja wam błogosławię.

I uśmiech Pana Boga rozlał się na łąki, lasy, ciche strumyki i gwałtowne wodospady, na pola i sady, na ptaki i zwierzęta na ludzi i domy, na cały świat. I zatrzymał się na dłużej na Jasiu i Mai, by w ich miłości ogrzać swoje stare serce.

Krystyna Sztramska

Gdzie mieszka szczęście?

Był sobie pewien chłopiec... Jasio mu było na imię. Ten Jasio był bardzo nieszczęśliwy, bo miał jedną krótszą nogę i inne dzieci śmiały się z niego, bo nie mógł szybko biegać. Mama przytulała go i mówiła, że go bardzo kocha, ale on nadal był nieszczęśliwy. Pewnego dnia postanowił ruszyć w świat szczęścia szukać. Wymknął się z domu wczesnym rankiem, kiedy mama jeszcze spała i powędrował przez pola, lasy, łąki. Szedł tak długo, że w końcu rozboleły go nogi i skończyło się jedzenie, które sobie na tę wędrowkę w nieznaną przygotował. Usiadł więc na przydrożnym kamieniu i rozplakał się.

Wtedy nagle pojawił się przed nim staruszek z długą, śnieżną brodą i białym płaszczu na ramionach .

- Za czym tak wędrujesz? - zapytał Jasio.

- Szczęścia szukam - odpowiedział chłopiec wycierając łzy w rękaw koszuli.

- A jak wygląda to szczęście - zapytał starzec.

- Nie wiem, ale widziałem jak się ludzie cieszą i radują, kiedy mają dużo pieniędzy.

Pomyślał staruszek, podrapał się po uchu, uśmiechnął zagadkowo.

- To już masz swoje szczęście - powiedział stawiając przed Jasiem worek ze złotem. Zaświeciły się Jaśkowi oczy, wsadził rękę między brzęcząca masę złotych krążków. Chwycił worek i nie oglądając się za siebie ruszył ku miastu. Zaraz też kupił sobie piękny pałac, stroje, zatrudnił lokajów i służbę. Kucharze gotowali mu przemyślnie potrawy a on bawił się i hulał od rana do wieczora. Wokół niego gromadzili się ludzie, usługiwali mu, prawili komplementy, nosili go na rękach. Ale po pewnym czasie znudziło się Jaśkowi to bogate życie, wcale nie był z tą swoją gromadą pieniędzy szczęśliwy. Wrócił więc w tamto miejsce gdzie spotkał staruszka, usiadł na kamieniu i znów się rozplakał.

Zaraz pojawił się Białobrody i zapytał:

- Czemuś powrócił chłopcze?

- Nie znalazłem szczęścia.

- Dałem ci wór złota...

- E... tak chyba szczęście nie wygląda.

- A jak?

- Szczęście to chyba wtedy, gdy człowiek mądry jest. Widziałem uczonych, wszyscy ich słuchali, radzili się, uczyli się od nich...

- Bądź i ty mądry - powiedział staruszek kładąc mu na kolanach księgę oprawioną w skórę.

Chwycił Jasio księgę i wrócił do miasta. Gdy czegoś nie wiedział otwierał ją na dowolnej stronie i zaraz cała mądrość wpływała do jego głowy. Wiedział już prawie wszystko o ptakach, zwierzętach, roślinach. Ale ludzie nie chcieli go słuchać, bo był najmądrzejszy i nikogo nie dopuszczał do głosu. W końcu znudziło mu się to mędrkowanie, zwłaszcza, że z braku słuchaczy musiał mówić do lustra. Nie, to nie było to szczęście, o którym marzył. Wrócił, więc jeszcze raz na przydrożny kamień. Tym razem staruszek już na niego czekał.

- Znów szukasz szczęścia? - zapytał - nie znalazłeś go?

- E... Nie chcę już ani pieniędzy, ani mądrości. Ptaki są szczęśliwe, latają pod niebo, widzą cały świat, nie troszczą się o nic. Takiego szczęścia mi brak.

- To masz to swoje szczęście - powiedział Białobrody - ale zapamiętaj sobie, że to już ostatnie życzenie które ci spełniam.

To powiedziawszy znikł tak nagle jak się kiedyś pojawiał.

Jasiek poczuł jak rosną mu skrzydła. Uniósł się w powietrze. Miał dziób, ogon, pióra. Szybował pod chmurami podziwiając pola, lasy, łąki. Nagle zobaczył znajomy dom, podwórko, jabłonkę przy płocie. Zniżył lot. Usiadł na gałęzi. Na progu siedziała jakaś stara kobieta i patrzyła hen daleko, w jakąś jej tylko znaną dal.

- Gdzieżeś ty mój kochany syneczku, czy jeszcze żyjesz? Czy ci dobrze, czy będę klepiesz? Smutne serce matczyne, tęskni i z żalu pęka - mówiła wpatrując się w pustą drogę.

Zakręciły się Jaškowi łzy w ptasich oczach, zapukało rozpaczliwie ptasie serce. Poznał, że to jego mama siedzi na progu, że na niego czeka.

- Tu jestem mamó, ja twój synek, już idę do ciebie!

Sfrunął z gałęzi, przydreptał do jej stóp.

- Tak kulejesz jak mój Jaško - mama pogłaskała jego lśniące piórka - Och, jakie to byłoby szczęście gdyby on wrócił.

- Białobrody, pomóż - jęknął Jasiek machając rozpaczliwie skrzydłami - już wiem jak wygląda szczęście!

Z jego ptasich oczu popłynęły błyszczące jak brylanty łzy.

- Ech, wzruszyłeś mnie smyku, niech ci będzie, wracaj do swojej postaci... - usłyszał tkliwy głos z Nieba.

Ileż było radości, śmiechu, przytulania, łez. Ileż słów serdecznych, ileż gestów przyjaznych.

- Już wiem gdzie mieszka szczęście - szepnął Jasiek patrząc w matczyne oczy i tuląc się do jej ciepłych dłoni.

Krystyna Sztramska

Zegar na działdowskiej wieży

Na dworze było tak pięknie i ciepło, że Kasia wolniej niż zwykle szła ze szkoły do domu. Zatrzymała się w parku obok Ratusza przy fontannie podziwiając Starówkę. Jasne, pastelowe kolory kamienic otaczających czworokątny Rynek przyciągały jej wzrok różnorodnością kształtów, ozdób, poddaszy i wieżyczek o półkolistych okienkach. Ale najpiękniejszy był strzelisty Ratusz zakończony niewielką wieżą i cienką iglicą sięgającą chmur. Czerwone dachówki lśniły w słońcu jak odpustowe korale. Na jasnych kamiennych słupkach wprawna ręka umieściła białe kule. Ze wszystkich stron na Rynek spoglądały zegary. Ich tarcze mieniły się złotymi cyframi i wskazówkami. Od murów z jasnej podłużnej cegły biła dziwna jasność, jakby ktoś rozświetlał wnętrze Ratusza jakimś tajemniczym światłem. Kasia uśmiechnęła się radośnie, uniosła do góry głowę. Złote wskazówki na ratuszowym zegarze zbliżały się właśnie do godziny dwunastej. Za chwilę z wieży popłynie przepiękny hejnał. Dziewczynka znów przymknęła oczy, zastygła w oczekiwaniu. Ale Ratusz milczał, więc Kasia z niepokojem uchyliła powieki. Zegar, na który patrzyła pociemniał nagle, choć z nieba lały się kaskady słonecznego światła. Wskazówki zazgrzytały nieprzyjemnie, poruszyły się ociężale, ale za chwile znów zatrzymały się jakby nie mając siły by przesunąć się choćby o milimetr dalej. Dziewczynka rozejrzała się wokół.

- Ludzie, coś złego dzieje się z zegarem! - krzyknęła, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. I wtedy nagle pod Ratuszem zadrżała ziemia. Zegarowa wieża zakolysała się niebezpiecznie. Dwanaście złotych kul oderwało się od tarczy i kolejno z brzękiem potoczyło się po spadzistym dachu. Teraz wszyscy znajdujący się w pobliżu zatrzymali się z przerażeniem obserwując to, co się stało. W oknach kamienic pojawiły się przestraszone twarze. Drżenie ziemi dało się odczuć także w ich domach. Z Ratusza wybiegli przestraszeni urzędnicy.

- Co się dzieje? - zapytał Przewodniczący Rady Miasta rozglądając się dokoła.

- Zegar! - Kasia podbiegła do niego, szarpnęła go za rękaw marynarki - złote kule spadły.

- Hm- Przewodniczący Miasta podrapał się po głowie - to mamy mały kłopot.

Ale kłopot wcale nie był taki mały. Bo nagle nad miastem pojawiła się powietrzna trąba, zakotłowało się, zamieszało, do góry uniosły się wszystkie papiery i śmieci walające się gdzieś po ulicach a wraz z nimi dwanaście złotych kul zawirowało jak krzeselka na karuzeli. A później te kule jakby wystrzelone z armaty poszybowały w różne strony miasta. A z każdą z nich zrywał się jakiś kolor z jednej z kamienic i nadymając się jak balon unosił się do góry. Nie było już pomarańczowych, żółtych, zielonych domów. Starówka poszarzała, posmutniała, a śmieci, które spadły z powrotem na ulicę dopełniały jej surowości i brzydoty.

Przewodniczący Miasta załamał ręce

- Trzeba coś wymyślić, szukać pomocy

Urzędnicy pokiwali ze zrozumieniem głowami, sięgnęli po telefony, wystukali jakieś numery. Zaraz więc pojawiła się Straż Miejska i Policja. Od strony ulicy Jagiełły nadszedł strażacy...

- Przyjechał Burmistrz - rozległ się szmer wśród gromadzącego się tłumu gapiów.

- Jest i Starosta - szepotali inni.

W przeciągu kilkunastu minut pojawili się także Miłośnicy Ziemi Działdowskiej, pracownicy Miejskiej Biblioteki, ekolodzy, młodzież ze szkół, dzieci z przedszkoli, księża, nauczyciele, sklepikarze. Ciasno zrobiło się na Rynku. Po chwilowym bałaganie wszystkie mądre działdowskie głowy zniknęły za ratuszowymi drzwiami. Po chwili przed Ratuszem pojawił się Burmistrz

- Kochani Działdowianie - rozpoczął patetycznie - problemy są po to by je rozwiązywać. Z naszego wschodniego zegara wypadły złote kule i poszybowały w świat - burmistrz zrobił smutną minę - ale odnajdziemy je, włożymy je z powrotem tam gdzie ich miejsce. Zegar będzie uratowany! I kolory na kamienicach powrócą - burmistrz pokazał w uśmiechu wszystkie zęby

Tłum zafalował ze szczęścia, mowa Burmistrza nagrodzona została gromkimi oklaskami

- Tylko gdzie te złote kule są - odezwał się piskliwy głosik Kasi. Ludzie popatrzyli po sobie. Nastąpiła wielka konsternacja. Wszyscy widzieli jak złote kule porwał wiatr.

- Odnajdziemy je - teraz na schodach Ratusza pojawił się Starosta - od czego mamy Czarodziejską Księgę Miasta? Czarodziejska Księga Miasta? Nikt dotychczas o niej nie słyszał. Ale Starosta miał taką mądrą minę, że musiał wiedzieć więcej niż szary obywatel. Na chwilę zniknął za ratuszowymi drzwiami by zaraz powrócić z księgą oprawioną w wężową skórę. Podał ją Przewodniczącemu.

- Kochani - głowa Przewodniczącego była widoczna z daleka - władze miasta upoważniły mnie bym zajął się ratowaniem zegara. Oto, w tej Czarodziejskiej Księdze Miasta znajdują się potrzebne wskazówki - Przewodniczący otworzył Księgę, wyszukał odpowiednią stronę i hasło

- W razie uszkodzenia zegara - czytał wolno i głośno, by wszyscy go dobrze słyszeli - lub zapodzianiu się złotych kul trzeba je szybko odnaleźć i umieścić na tarczy zegar. Włożyć je może jednak tylko ten, kto ma czyste serce. Inaczej kamienice na Starówce nigdy nie odzyskają swoich kolorów.

Po tych słowach Przewodniczącego na Rynku zapanowała cisza. Działdowianie patrzyli na siebie z niechęcią i złością. Nie dość, że kamienice straszły szarością to jeszcze wokół zbierało się coraz więcej śmieci. Dzieci wyrzucały papierki po cukierkach wprost na chodnik, dorośli też nie wiedzieli, co robić z opakowaniami po chrupkach, kanapkach, chipsach. Niektórzy opuścili głowy, chyłkiem zaczęli wycofywać się z Placu Mickiewicza. Ci, co zostali przestępowali z nogi na nogę nie wiedząc, co robić.

Nagle od strony Bramy Mazurskiej dał się słyszeć tętent konia. Na karym rumaku na Rynek wjechał rycerz w żelaznej zbroi. Na narzuconym na ramionach białym płaszczu widniał czarny krzyż. Przewodniczący ruszył mu na powitanie. On jeden go natychmiast rozpoznał.

- Witaj Wielki Mistrzu Rudolfie Kóning. Ty, który nadałeś prawa miejskie i nazwę „Soldav” naszemu miastu bądź pozdrowiony. - powiedział kłaniając mu się do stóp.

- Witajcie Działdowianie. Nie traćcie nadziei. Przybyłem tu do was, żeby wam pomóc. Z wieży Zamku widziałem jak złote kule leciały w różne strony miasta. Na pewno je znajdziecie, bo leżą w miejscach dla was bardzo ważnych.

Po tych słowach Mistrza duch w sercach Działdowian na nowo odżył. Ruszyli więc wspierając się dobrym słowem i okrzykami zachęty. Podzielili się na grupy, szukali, choć wiedzieli, że sprawa nie jest łatwa. Ale o dziwo, już po godzinie przed drzwiami Ratusza pojawiły się pierwsze znalezione kule. Burmistrz układał je pieczołowicie na srebrnej tacy.

- Gdzie żeście je znaleźli - pytał zdumiony, że tak sprawnie przebiegała akcja poszukiwawcza.

- Nasza leżała u stóp Zamku - zawołali ci z pierwszej grupy - w końcu w tym miejscu powstało nasze miasto.

- My znaleźliśmy swoją przy Pomniku Króla Władysława Jagiełły. To jego wojska zwyciężyły pod Grunwaldem.

- A ta poszybowała aż do koszar - zawołali inni - to tam podczas II wojny tysiące więźniów poniosło męczeńską śmierć z rąk faszystowców. Także abp Julian Nowowiejski i bp Leon Wetmański. Trudno o tym nie pamiętać.

I zaraz po nich pojawili się ci, którzy natrafili na kule przy Kościele Podwyższenia Krzyża, Świętego Wojciecha i Świętej Katarzyny. Zaraz za nimi nabiegli ci z wieży ciśnień, z Działdowskiego Centrum Caritas i spod Hali Sportowej. Ktoś znalazł złotą kulę przy Bibliotece Miejskiej. Dziesiąta kula wpadała do Domu Kultury, jedenasta zaplątała się przy Urzędzie Miasta a dwunasta? Tę znaleziono u stóp pomnika Św. Katarzyny. Chyba była największa i najbardziej lśniła złotym blaskiem.

- Jestem z was dumny - Burmistrz nie ukrywał zadowolenia z wykonania pierwszego zadania. - teraz musimy znaleźć kogoś o czystym sercu. Może są jacyś ochotnicy? - zachęcił zebranych skinieniem ręki. Strażacy natychmiast zaczęli rozciągać drabiny.

Śmiałków oczywiście nie brakowało. Wielu myślało, że ich serca są na tyle czyste by podołać takiemu trudnemu zadaniu. Ale co który wspiał się ku Ratuszowej wieży spadał na dół jak wypełniony piaskiem worek Burmistrz załamywał ręce, Starosta nie śmiał nawet patrząc do góry a Przewodniczący Miasta miał taką nieszczęśliwą minę jakby kazano mu połknąć cytrynę.

Działdowian znów ogarnął duch zwątpienia. Dwanaście złotych kul czekało na srebrnej tacy a nikt nie miał odwagi wejść na drabinę. Wtedy obserwujący wszystko z boku Mistrz Krzyżacki zszedł z konia i wszedł na schody prowadzące do Apteki. W jego dłoni zaiskrzyła srebrzysta lanca. Mistrz wspiął się na palce i dotknął nią wiszącego nad drzwiami Apteki kamiennego orła. Ptak poruszył skrzydłami, oderwał się od muru i z głośnym łopotem skrzydeł poszybował w kierunku Ratusza.

- On na pewno ma czyste serce. Opowiadano, że wykonano je z czystego bursztynu - powiedział Mistrz.

Orzeł nastroszył pióra. Przechylił zadziornie głowę. A później jak gdyby nic odezwał się ludzkim głosem.

- Widzę, że bardzo kochacie swoje miasto. Ja też kocham je z całej mocy. Dźwięk trąbki przez wiele lat pieścił moje serce a kolorowe kamienice cieszyły moje oczy. Choć jestem stary - pomogę.

I orzeł chwycił w dziób pierwszą złotą kulę. Strażacy zaczęli składać drabiny a ludzie machali chusteczkami na znak radości i dziękczynienia. Orzeł z zegarmistrzowską precyzją wkładał kule przy cyfrach na zegarze. Gdy doszedł do dziesiątej zmęczył się jednak i padł na chodniku. Jego skrzydła po stu a może nawet dwustu latach bezruchu nie miały siły na tak ciężką pracę

- Orle kochany, walcz - błagali ludzie.

Więc orzeł podniósł się na chwiejnych nogach i chwycił w dziób jedenastą kulę. Ale kiedy udało mu się ją umieścić przy jedenastej cyfrze padł wyczerpany na ziemię.

- Jeszcze tylko jedna - płakali ludzie, ale orzeł oddychał ciężko i drapał pazurami jezdnię. Ludzie chwycili się solidarnie za ręce. Wielki Mistrz pokręcił z rozpaczy głową, wskoczył na konia i pognął Bramą Mazurską do zamku.

- Jesteśmy zgubieni - krzyknęła pani Ewa z Biblioteki. Wszyscy wiedzieli jak bardzo sprawa Działdowa leży jej na sercu. I wtedy zdarzył się cud. Nad Ratuszem ukazała się postać kobiety w czerwonej sukni opasanej złotym płaszczem. Na jej głowie lśniła złotą koronę. Niewiasta trzymała w jednym ręku stalowy miecz, w drugiej zaś koło tortur.

- Święta Katarzyna - westchnął tłum rozpoznając w przybyłej Patronkę miasta.

Świętą Katarzyna uśmiechała się czule. Wolno opuściła się na dół i zbliżyła się do orła. Wzięła go na ręce wsuwając do dzioba dwunastą kulę. Ptak od razu nabrał sił, wtulił się w jej złoty płaszcz zaciskając mocno dziób, by nie zgubić kuli. Święta uniosła go do góry jak piórko. I orzeł umieścił ostatnią kulę na tarczy. Tłum oszalał z radości. W górę poszybowały czapki, chustki, kapelusze i marynarki. Zaraz też kamienice okryły się kolorami. Zegar ożył, radośnie zaskrzypiały złote wskazówki i zaraz dały się słyszeć dźwięki hejnału. Orzeł wyfrunął z objęć Świętej Katarzyny i znów zawisł nieruchomo nad drzwiami apteki. Ludzie całowali się, ściskali, tańczyli wokół Ratusza jak małe dzieci.

A Święta nagle znalazła się tuż nad głową Kasi. Dziewczynka oniemiała z wrażenia. Płaszcz Świętej dotknął rąbkami jej jasnych loków. Jakby na znak, że są w Działdowie osoby o czystych sercach, że i Kasia jest jedną z nich. W ludzi wstąpił nowy duch. Patrzyli na siebie jasnymi oczami. Ale też zaraz zobaczyli, że wokół jest jakoś brudno, że wśród zabytkowych kamienic walają się śmieci. Poczerwienieli ze wstydu i zaraz ruszyli do sprzątnięcia i zamiatania ulic. Święta uśmiechnęła się jeszcze czulej. Kasia poczuła nagle jakąś łączność, bliskość z tymi wszystkimi ludźmi, z tym miastem, z jego historią i z tą Świętą, której imię nosiła. Zawsze kochała Działdowo, Ratusz, zegar, Starówkę. Ale dziś uczucie miłości i przywiązania ogarnęło ją z jeszcze większą siłą. Westchnęła głęboko a później ruszyła na pomoc sprzątającym. Święta Katarzyna uniosła się do góry ogarniając miasto tkliwym spojrzeniem. Wiedziała, że jego piękno i czystość jest w dobrych rękach. I że zawsze sobie poradzi w trudnych chwilach. Bo tam gdzie ludzie dbają o swoje miasto tam radość i szczęście zakwita na zawsze